25 ct

…ECZKA
dla
…DZIECI I MŁODZIEŻY
ku rozrywce i nauce



X. Y. Z.

KOŚCIUSZKO
w Ameryce.

Nakładem i drukiem
KSIĘGARNI O. ZUKERKANDLA I SYNA w ZŁOCZOWIE.



Tadeusz Kościuszko

urodz. 1746. † 1817 r.

BIBLIOTECZKA dla DZIECI i MŁODZIEŻY
KU ROZRYWCE I NAUCE.

Książeczka XXII.

Kościuszko w Ameryce,

jego bohaterskie czyny w walce o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

OBRAZ HISTORYCZNY

napisał dla młodzieży
X. Y. Z.

„Dajmy dowòd, że nie ginie
Dawne męstwo, poświęcenie.....“
Wincenty Pol.

W Złoczowie
nakładem i drukiem O. Zukerkandla i Syna
pod zarządem Wilhelma Zukerkandla.
1890.

WIELMOŻNEMU PANU

FERDYNANDOWI BADAŃCZYKOWI

c. k. Inspektorowi szkół ludowych,

gorliwemu krzewicielowi oświaty

w dowód szacunku i trwałej pamięci

poświęca

AUTOR.

I.

Początek i rozwój osad w Ameryce Północnéj. — Ich ucisk i pochwycenie za broń. — „Towarzystwo Starców.“ — Początek wojny z Anglikami i ogłoszenie niepodległości Stanów Zjednoczonych. — Pomoc Francyi.— Przybycie do Ameryki Lafayette'a i Kościuszki.

Odkrycie Ameryki jest jedném z owych olbrzymich historycznych wydarzeń, których skutki dla dziejów ludzkości są niezmiernego znaczenia. Europie utorowano nową drogę.

Świat stary zwracał zdziwione i pożądliwe oczy ku owéj nowéj półkuli ziemi, któréj się przypatrywano w poranném złocistém przeźroczu cudownych

baśni, uroczych opowiadań. Żądza wiedzy i chciwość złota, sławy, panowania, zamiłowanie przygód i wolności popędzały odtąd tysiące mieszkańców Europy poprzez burzliwe morze ku wybrzeżom nowéj części świata, która ich gościnnie przyjmowała.

Jéj niezmierne puszcze, jéj niezbadane, nieprzystępne *lasy dziewicze* ofiarowały chętnie ochronę *tym* szlachetnym mężom, którzy unikając ramienia samowoli, albo religijnego prześladowania swych zaślepionych współbraci narażali się raczéj na największe niebezpieczeństwa i niedostatek na wolnéj ziemi, aniżeliby mieli byli dłużéj znosić niegodny ucisk w swéj ojczyźnie. Ożywieni gorliwością, która zwykła człowiekiem kierować w nowych przedsięwzięciach, rozwinęli podziwienia godną energią *)

---

*) siłę woli.

i wytrwałość i starali się w skrzętném, pracowitém życiu zapomnieć na widok swéj młodéj ojczyzny — o niepowodzeniach, które ich zagnały poza morze. Mieli oni atoli pierwéj przebyć jeszcze uporczywą walkę: wypadało im — ujarzmić dzikie zwierzęta i od nich się obronić, zwalczać i ucywilizować barbarzyńskich krajowców, znosić głód i niedostatek wszelkiego rodzaju, osuszać moczary, przetrzebiać lasy, zaopatrywać rzeki groblami i karczować niezmierne przestrzenie.

Lecz dziewicza ziemia wynagrodziła ich trudy stokrotnie: klimat i ludzie stawali się spokojniejszymi i łagodniejszymi. W krótkim czasie powstawały tam bezpieczne mieszkania, wsie i kwitnące miasta, gdzie dawniej zaledwie odpowiednie schroniska miały jaguar i kajman pośród ciemnych lasów i wód szlamistych.

W ten sposób powstały powoli osady: *) *New-Hampschire,*[1]) *Massachuset,*[2]) *Rhode-Island,*[3]) *Connecticut,*[4]) które nosiły wspólną nazwę *Anglii Nowéj;* a z nimi połączyły się późniéj *Wirginia, Nowy Jork, Pensylwania, Delaware,*[5]) *New-Jersey,*[6]) *Maryland,*[7]) *Karolina Północna i Południowa,* tudzież *Georgia.*[8]) Te trzynaście prowincyi stanowiły pierwotnie niepołączoną wielość — różnorodną pochodzeniem, obyczajami, formą rządu, religią i sposobem życia. Lecz wszystkie osady pozostawały pod zwierzchnością Anglii. Rząd brytański, oceniając wartość tych posiadłości był w ciągu stulecia dosyć roztropnym w popieraniu ich we wszelki sposób i dostarczaniu im posiłków. W tento sposób kwitły

*) Czytaj: [1]) Niu-Hemszir, [2]) Messeczusets, [3]) Rod-Ajlend, [4]) Konnetiköt.

[5]) Dellewer, [6]) Niu-Dżersi, [7]) Merilend, [8]) Dżordżye.

téż osady, że aż radość była na to patrzeć; a nieliczni przybysze, dzieci wszelkich krajów stali się powoli potężnym północno-amerykańskim narodem. Dziecko dojrzało w młodzieńca, uczuło swą siłę i dowiedziało się o mocy, która w niém tkwiła. Przedewszystkiem odznaczali się północni Amerykanie oddawna gorącą *miłością wolności*. I jakżeby miało owo zamiłowanie zupełnéj swobody, które już tyle przeszkód pokonało, obumrzéć pośród niezmiernych pustyń Ameryki, gdzie nie znano europejskiego zbytku i rozpieszczających rozrywek, gdzie nieustanna praca wzmacniała ciało i musiała zdwoić *samodzielność charakteru?!* Wypada i to mieć na pamięci, że w amerykańskich osadach była tylko *jedna* klasa ludu: dla bogaczów i mocarzy Europy nie były te stósunki w owych osadach siłą przyciągającą — dlatego nie dostały się

poza morze żadne przywileje, żadne stósunki lenności. Tutaj miał znaczenie tylko pracujący stan średni. Każdy czuł się w rozległych ziemiach, które uprawiał, swoim własnym panem; i trudnoby go było przekonać, że swoje szczęście obok Opatrzności zawdzięczał także łasce angielskiéj królowéj. Czuł się on niezawisłym, bo osobista wolność jest potężną dźwignią wolności obywatelskiéj! Nadto do utrzymania do niepodległości dążącego ducha w prowincyach przyczyniło się wielkie oddalenie od właściwéj siedziby rządu — tak, iż ministrowie zaledwo tutaj zdołali sięgnąć swoim wpływem.

W ten sposób z postępem czasu i w miarę dojrzewania północno-amerykańskiego narodu rozwolnił się węzeł, który łączył osady z krajem ojczystym. Niebawem protektor Cromwell dał piérwszy powód do niezadowolenia poza oce-

anem wydaniem tak zwanego *Aktu nawigacyjnego*, który zakazywał, aby który obcokrajowy okręt w brytańskich osadach trudnił się handlem, albo téż do saméj Anglii wprowadzał inne towary jak płody swego kraju. Nadto rozporządzenie czyli bil z 8. kwietnia r. 1764. nałożył cło, które miało być składaném gotówką za przeróżne wprowadzone artykuły, i zaprowadził papiér stemplowy i taksę od stempli. Krępowało to i krzywdziło w swobodzie i handlu zamiłowanych mieszkańców Ameryki Północnéj.

Teraz nadeszła ważna chwila, która wzywała całą ludność Ameryki Północnéj do bronienia swych praw. Zwołano téż ogólne zgromadzenie czyli *generalny kongres* w r. 1765. w Nowym Jorku, który się dopominał sprawiedliwości u angielskiéj korony, lecz napróżno. Owszem rząd angielski użył surowych

środków celem zabezpieczenia posłuszeństwa swym nowym rozporządzeniom. Pokrzywdzoną Amerykę Północną owionął święty zapał jakby potężny płomień. Wszystek lud stanął pod bronią; nawet kaznodzieje wzywali religijny gmin do obrony w imię wolności, którą nie bez słuszności uznali za sprawę nieba. Wszędzie — jak za czasów wojen krzyżowych wydobywało się z piersi Amerykan wstrząsające hasło: „Taka jest wola boża!“ Żaden człowiek nie chciał się wyłączyć od służby dla ojczyzny; nawet wiekiem pochyleni staruszkowie zebrali się i utworzyli tak zwane „Towarzystwo Starców.“ Byli to sędziwi wychodźcy, którzy w Europie w wojsku służyli. Na ich czele stał kapitan— prawie stuletni! Lecz młodzieńcza siła przenikała członki nawet tych godnych weteranów na myśl, że walczyć mieli

za wolność i niepodległość swéj drogiéj ojczyzny.

Wreszcie spotkali się Anglicy z Amerykanami pod Laxingtonem: i od tego dnia, w którym się wiele krwi przelało, roznieconą została pochodnia wojny.

Wojska Anglii stały pod dowództwem *Goge'a*, *Howego*, *Clingtona i Burgoyne'a* — Amerykanie mieli na czele dzielnego *Washingtona*,*) któremu kongres nie bez oględności powierzył naczelne dowództwo.

Od tego czasu rozgorzała wojna w całéj zaciekłości. Atoli osady jeszcze się silniéj ku sobie zbliżyły, ogłosiły swą *niepodległość* i tworzyły od téj chwili związek czyli *unią* pod nazwą: „*Stany Zjednoczone Ameryki Północnéj.*“

Z początku wojny nie powodziło się nowemu państwu: zabrakło Washingto-

*) Czytaj: Ueszingt'na.

nowi wojska, pieniędzy i wszelkich potrzeb. Anglicy wpadli ze wszech stron z wielką siłą i napierali na Amerykan, których szeregi brak i nędza przerzedzały. Całe pułki zaczęły się naprzód rozwiązywać tak, iż się zdawało, że sprawa wolności upadła. Atoli bohatér Washington nie stracił ducha. Jego odwaga, jego śmiałość, roztropność i stanowczość ocaliły kraj — srodze uciśniony. Wreszcie zdawało się, że miała dla Amerykan zaświtać łaskawsza, piękniejsza przyszłość. Młody bohatér *Lafayette* *) ukazał się na amerykańskiéj ziemi, pragnąc gorąco walczyć pod sztandarem wolności. Francya objawiała sprzyjające usposobienie i obiecała wkońcu, zniewolona do tego usiłowaniami szlachetnego *Benjamina Franklina* — czynną pomoc. Po długiém wa-

*) Czytaj: Lafajet.

haniu się dotrzymała słowa; a 5. lipca roku 1778. wpłynął admirał hrabia d'Estaing z 12. liniowymi okrętami w przystań Delaware.

Na francuskim statku znajdowała się także szczupła garstka szlachetnych Polaków, a między nimi — *Tadeusz Kościuszko!*

II.

Morze. — Wysiadanie na ląd Francuzów. — Ich radosne powitanie przez Amerykan pod dowództwem Washingtona. — Życie w obozie. — Spotkanie się Kościuszki z przyjacielem Puławskim. — Życzliwe przyjęcie Kościuszki przez Washingtona.

Każdy żywioł posiada swe piękności, swe uroki; żaden atoli nie czyni tak wspaniałego wrażenia na nas jak woda w swém zespoleniu t. j. morze.

Morze — wiecznie ruchliwy, nieprzejrzany ogrom wody z miryadami swych fal i bałwanów, które się pienią i tańczą, które mile igrają, a rozgniewane ku niebu się podnoszą, które będąc obrazem naszego istnienia przed naszymi oczyma powstają, rozpływają, ciągle się odnawiają i znowu nikną! Morze z swymi świetnymi barw odcie-

niami, z swém dnem cudownem i bajecznem, z niezliczonym tłumem swych ryb i potworów, które według powieści strzegą jego skarbów, z kryształowém łonem, gdzie spoczywa tyle tysięcy zmęczonych i uspionych rozbitków, których głowę zdobi korona z czerwonych korali. Morze — to w swéj piękności sztraszliwe i wzniosłe morze: w jakież roskoszne marzenia wprawiają człowieka jego obrazy!

I Tadeusz Kościuszko napawał się teraz widokiem téj piękności i téj grozy morza. Oparty o burtę liniowego okrętu „Zwycięstwo“ *) spoglądał na nieprzejrzane, wspaniałe morze, nad którém młody dzień świtać zaczynał.

Wszystko naokoło niego milczało;

---

*) Właściwa francuska nazwa tego *francuskiego* okrętu była „Victoire“ (czytaj Wiktoar) — po polsku „Zwycięstwo.“

słychać było tylko w takt łopocące kroki na pokładzie okrętu. Majestatycznie unosiły wody 12 liniowych okrętów i trzy wielkie fregaty*) Francyi, które tutaj stały na kotwicach. Była to flota, którą dowodził admirał hrabia d'Eslaing, i która Stanom Zjednoczonym miała przywieść pożądaną pomoc— ta sama flota, która *Tadeusza Kościuszkę* i jeszcze więcej szlachetnych wojowników z Europy przywiozła. Dla nich i dla Kościuszki miał się stać właśnie teraz świtający dzień — dniem ważnym ponieważ go głównodowodzący jenerał Washington, który tylko w nieznacznem oddaleniu od wybrzeża założył był obóz, wyznaczył na przyjęcie europejskich ochotników.

Najbliższém i najdroższém, co zie-

---

*) Fregata: lekki wojenny okręt o trzech masztach.

mia dla Kościuszki miała, była jego ojczyzna, której atoli chwilowo nie mógł dopomóc, albowiem caryca Katarzyna II., która pod owe czasy prawie wszechwładnie w Polsce panowała, śledziła przez swych ludzi bystrém okiem wszelkie usiłowania swój kraj miłujących Polaków w celu oswobodzenia się z pod tego jarzma. Dlategoto właśnie Kościuszko, który piérwszy i gorąco do tego dążył, widząc niebezpieczeństwo dla siebie w ojczyźnie, któréj chwilowo dopomóc nie mógł, zwrócił się tam, gdzie pod sztandarami szlachetnego uciśnionego narodu mógł był walczyć za prawa ludzkości. Dlategoto biło w nim teraz serce tak potężnie, ponieważ miał wstąpić w szeregi owych dzielnych wojowników, oglądać za kilka godzin tego męża, którym się jego stulecie miało prawo szczycić t. j. Washingtona!

Tymczasem zawitał ranek; a z nim

obudziło się ruchliwe wielostronne ż
cie. Wszystko roiło się na okrętac
Bębny głosiły ranną pobudkę; przer
źliwy głos piszczałki wydawał rozka
okrętowéj czeladzi i majtkom — a tul
roznosiła je daléj. Toż krzyki, wołan
i hałasy spędziły ciszę, która jeszc
przed kilkoma minutami panowała n
morzu i na flocie. Każdy zabierał s
do wskazanego mu przez admirała z
jęcia.

W godzinę późniéj rozpoczęło s
wysiadanie na ląd; a Kościuszko st
nął z francuskimi pułkami na zien
wolności. Rozkaz wypełniono w na
większym porządku; a oddziały wojsk
które się były na ląd dostały, ruszył
natychmiast ku głównéj kwaterze Wa
shingtona.

Wesoły zapał panował pośród szere
gów walecznych Francuzów. Każdem
tętniło serce radośnie na myśl, iż mia

pod nogami grunt, że odbył nudną służbę na okrętach i miał wkońcu wstąpić na pole chwały. Chorągwie powiewały w świeżém rannem powietrzu; ochoczo grała muzyka, któréj wtórowały wesołe pieśni.

Po krótkim czasie dotarło do przedniéj straży amerykańskiego wojska. Śpiewanie ustało; ściśléj zwarły się szeregi — a oddziały wojska przeciągały w dumnéj postawie przed długim frontem Amerykan, którzy je, mając na czele dzielnego *Washingtona* ze sztabem przyjęli wśród odgłosu muzyki z rozwiniętymi sztandarami.

Była to piękna, uroczysta chwila, kiedy się obie armie powitały grzmiącèm: „Hura!“ Chorągwie pochyliły się ku ziemi; a muzyka bohaterską melodyą podniosła ku niebu czci i wolności spragnionego ducha. W słońcu, oświecającém wspaniale to wojenne widowisko,

połyskiwała broń we wszelkich kierunkach. Skoro się atoli i Francuzi ustawili, a ku nim szparko nadjechał *Washington*, ten powszechnie czczony bohater, którego sława już oddawna przeniosła się była poza morze, i nielicznymi, ale jędrnymi słowy przybyszów powitał, wówczas porwał wszystkich święty zapał; i daleko ozwało się ziemią wstrząsające wołanie: „*Niech żyje wolność, niech żyje Washington*!“

Szlachetnemu wodzowi oczy łzami zaszły, gdyż i teraz spełniły się jego nadzieje; potężna Francya dotrzymała słowa i przysłała pomoc. Mógł tedy teraz na pewne liczyć, iż mógł był wkrótce uwolnić i uszczęśliwić Amerykę.

Pozdrawiając uprzejmie objechał następnie szeregi nowoprzybyłych; a jego serce zadrżało z roskoszy na widok szlachetnéj postawy tych pięknych, silnych wojowników, z których twarzy

ku niemu śmiałość i radosna odwaga się uśmiechały. Armie krajowców i nowoprzybyłych łączyły jeden duch, jedna myśl; jedni i drudzy zdobyli już sobie wawrzyny na różnych półkulach ziemi, a teraz mieli wieść wspólnie bój, należący do dziejów świata!

Gdy obrządki przyjęcia przybyszów zakończyło uroczyste nabożeństwo, oddalił się *Washington*, a Francuzi rozbili pospiesznie potrzebne namioty. *Kościuszko* zaś podążył z tymi wszystkimi, którzy mieli być przedstawionymi głównodowodzącemu, ku domowi, przed którym on był zsiadł z konia.

Myśl o ważności najbliższych chwil tak dalece zaprzątnęła głowę *Kościuszce*, że zaledwo zwrócił uwagę na tłum tu i tam garnących się osób, który w istocie był zajmującem widowiskiem. Nadchodzili i odchodzili oficerowie, adjutanci pędzili na koniach tu i tam, przeku-

pnie podawali swe środki żywności; a do nich cisnęli się zewsząd żołnierze. Markietanki*) częstowały ich napojami. Zléwały się z sobą uniformy, broń najróżnorodniejszych gatunków i twarze we wszelkich odcieniach koloru: od lśniącego się czarnością Murzyna aż do przejrzystéj białéj płci Europejczyka. Atoli u młodych i u starych, u męszczyzn i u niewiast, u oficerów i u szeregowców, w chodzie i w działaniu uwydatniała się owa powaga, która stanowi cechę północnych Amerykan tak wyraźnie, iż tylko zdaleka od obozu Francuzów dolatywały wesołe pieśni.

Dla *Kościuszki* nie miało znaczenia to widowisko, gdyż stał, zatopiony w myślach, w których już daleko w głąb kraju się zapuścił i wiódł swą wale-

*) Niewiasty, sprzedające obozującemu wojsku jadło i napoje.

czną gromadkę ku śmiałym zwycięstwom!

Dopiero teraz, kiedy się tłum rozstąpił, a gęsty tuman zapowiedział zbliżanie się kilku jeźdźców, podniósł *Kościuszko* do góry oczy i ujrzał nadbiegającego cwałem męszczyznę, mniéj więcéj tego samego co on wieku. Jeździec, za którym zdążali dwaj oficerowie, zaledwie zdołałby był zwrócić na siebie jego uwagę, gdyby na sobie nie był miał *polskiego* stroju. To zauważenie przenikło *Kościuszkę*, jakby elektryczna iskra. Szybko wysunął się naprzód; atoli w téj saméj chwili poznał go także i jeździec i z słowami: A, oto jest ten „staruch!“ Witam, witam w Ameryce!“ zsiadł z konia i rozpromieniony radością przygarnął *Kościuszkę* w swe ramiona.

Zdziwienie *Kościuszki* było tak wielkie, że zaledwo po kilku minutach zdo-

łał przemówić. Poznał on w swym ziomku szlachetnego hrabiego *Puławskiego*, jednego z swych towarzyszów młodości, z którym tak często bywał w domu księcia *Czartoryskiego! Kościuszce* wydawała się teraz Ameryka więcéj swojską. Jakże to szczęśliwa była wróżba: piérwszym, kto go na obcéj ziemi powitał, był *ziomek*, ów słynny mąż, który w sobie łączył podziwienia godną stanowczość amerykańskiego partyzanta*) z niewzruszoną odwagą polskiego bohatera wolności!

Puławski zajął się natychmiast gorliwie ziomkiem i dowiedziawszy się o życzeniu przyjaciela udał się bezzwłocznie do głównodowodzącego.

Washington przyjął go uprzejmie, gdyż go wysoce cenił, wiedząc, jak

---

*) Przewódca małych oddziałów żołnierzy, walczący podjazdami.

znaczne usługi ten wódz i jego konnica unii już byli wyświadczyli. Zgodził się też zaraz na jego prośbę; a hrabia Puławski pospieszył się, aby osobiście przedstawić swego przyjaciela.

Jakżeż mocno biło serce *Kościuszce*, kiedy stanął po raz pierwszy naprzeciw największego męża swego stulecia!

Washington byłato postać rosła, szlachetna. Oczy miał ogniste i pełne ducha, nos orli, usta ściśnięte i wysokie czoło. Skromny mundur, w jakim stał pośród błyszczących od srébra i złota oficerów swego sztabu, stroił go nieskończenie korzystnie i dodawał mu uszanowanie nakazującéj powagi.

Kiedy weszli do niego dwaj Polacy, był on zajęty wykończaniem jakiegoś planu. Podparty lewą ręką, wskazywał prawą na mapę, która przed nim była rozpostarta. Zdawało się téż, że się naradzał z Lafayette'm i jenerałami Way-

ne'm, Howe'm i Verplauk'em. Lecz skoro tylko spostrzegł przybyszów, powstał natychmiast od stołu i przystąpił do nich z prostotą zwykłego obywatela.

— Witam! — rzekł poważnie, a przecież łagodnie do nowego przybysza *Kościuszki* i uściskał mu serdecznie rękę. Polecił mi waszmości mąż dzielny. Chętnie służyć będę, jeśli się tylko da. Co waszmość zamyślasz tutaj czynić?

— Przybyłem walczyć jako ochotnik za niepodległość Ameryki! — odpowiedział Kościuszko stanowczo.

— Dobrze! — rzekł dalej wódz, który zwykł był zwięźle się wyrażać. I cóż możesz waszmość zdziałać?

— Proszę mię wystawić na próbę! — odrzekł spokojnie Kościuszko.

Washington, któremu się spodobały prostota i stanowczość Polaka, spojrzał na niego uprzejmie, zwrócił się następnie do swych jenerałów i zawołał:

— Sądzę, że przyjaciel naszego walecznego Puławskiego w samę porę przybywa, aby okazać swe zdolności. Pozostaniemy przy naszym planie zaczypienia miejscowości *Stoney-Point*, Komenda należeć będzie do jenerała Waynego. Jenerałowie Howe i Verplauk wspierać go będą swymi oddziałami wojska; margrabia zaś de Fleury i waszmość, mój nowy *przyjacielu*, będziecie im towarzyszyli. Bliższe szczegóły znajdą się w instrukcyi*).

Powiedziawszy to pożegnał uprzejmém skinieniem Polaka i powrócił do stołu, na którym znajdowała się mapa.

Puławski i Kościuszko wyszli na wolne powietrze. Kościuszko uściskał z wdzięcznością rękę ziomkowi i zawołał:

— Chwała Bogu! wreszcie będę mógł pod sztandarem wolności walczyć, albo umierać.

*) Rozporządzenie wojskowe.

— Zwyciężać młodzieniaszku! — zauważył Puławski — i zyskiwać wawrzyny, ale nie umierać... No, ale powiedz mi Tadeuszu! jak się ci podobał głównodowodzący?

— Podobał się mi nieskończenie!— odrzekł z zapałem Kościuszko. Jestto wielki mąż! Wierzaj mi: u niego serce jest na swojém miejscu. Takie jest moje zdanie.

III

Zaatakowanie twierdzy Stoney-Point przez „Synów straconych.“ — Ich pieśń bojowa, bohaterska walka i zgon. — Zdobycie twierdzy przez dowódcę Kościuszkę. — Śmierć jéj komendanta.

Generał Wayne nie ukrywał przed sobą bynajmniéj wielkich, prawie niepokonanych przeszkód, jakie się nasuwały zdobyciu *Stoney-Point*, téj tak nadzwyczajnie silnéj, od przyrody wspartéj twierdzy. Wypadało przebrodzić moczary, wspinać się na skały, torować sobie drogę przez prawie niezwiedzane lasy, zanim było można dostać się do miejsca przeznaczenia, ponieważ tutaj zajmowali dobre drogi jedynie Anglicy. A mimoto były to tylko drobnostki wobec wysileń, jakie musiano czynić podczas ataku, tém więcéj, ponieważ

było rzeczą znaną, że Stoney-Point broniła załoga silna i waleczna!

Przed jakimiż atoli przeszkodami zadrży porywająca odwaga narodu, walczącego o wolność i swój byt? Nawet nieliczne wojsko Waynego ożywiała ona, a nawet się wzmogła w niém aż do szalonéj zuchwałości. Już podczas rozpoczęcia marszu stanął na czele tego pochodu pewien oddział w boju o wolność Ameryki północnéj pod nazwą „Synów Straconych“ tak bardzo słynącéj garstki waleczników i obrał sobie za zadanie usunięcie z drogi przeszkód. Teraz, kiedy z nadejściem dnia przybyto do ostatniej kryjówki, wysunął się naprzód porucznik téj garstki *Giblou* i wyprosił dla siebie i dla swoich ludzi wobec bliskiego ataku pozwolenie do zerwania ostrokołów twierdzy. Jenerałowi Wayne wobec tego postanowienia cisnęły się łzy do ócz, ponieważ

wiedział, że wziąć na siebie to zadanie znaczyło, *narażać się na pewną śmierć.*

Kościuszce zawrzało w piersi serce. I on prosił o pozwolenie przyłączenia się do „Synów straconych;“ lecz jego prośba nie odniosła skutku, gdyż otrzymał od jenerała komendę nad małym oddziałem z rozkazem posuwania się naprzód tuż za nimi i, w razie możności, zajęcia podczas ataku wielkiego pięciokątnego szańcu, który twierdzę od południa ochraniał.

Gdy i resztę rozkazów wydano, zaczęto się posuwać naprzód, a Amerykanie opuścili las. Dopiero teraz, gdy się nieprzyjacielskie oddziały przyspieszonym krokiem ku twierdzy zbliżały, poznali Anglicy z nadejściem dnia grożące niebezpieczeństwo. Lecz przyroda naprawiła to, czego zaniedbała opieszałość.

Amerykanie natrafili niespodzianie na bagno, które ich powstrzymywało w dalszym pochodzie tak, że je tylko powoli mogli przebyć. Wtém rozpoczęli Anglicy szalony ogień kartaczowy; lecz chociaż grzmiały działa i świstały kule, a ludzie bez wydania z siebie głosu padali na ziemię, wtórowała temu wszystkiemu potężnym bohaterskim tonem zwycięstwa bojowa muzyka. Toż huk straszliwy dział i ta muzyka, ostatnie westchnienia umierających i bliska własna śmierć, to wszystko rozszérzało pierś atakujących i napełniało ich lwią odwagą.

Nagle zagrała muzyka hymn narodowy; wśród radosnych okrzyków, choć na śmierć znużone pomknęły się naprzód kolumny*), śpiewając:

---

*) Oddziały wojska.

„Śmiało o, bracia! naprzód ruszajmy,
Bo to dla drogiéj ojczyzny czynimy;
W postanowieniu się nie wahajmy:
Z wolą — z wrogami wnet się sprawimy.
Li sprawiedliwość naszym puklerzem
I honor chorągwią jest dzisiaj naszą:
Bo tylko — gdzie honor za cel obierzem,
Nas więzy poddaństwa już nie ustraszą.
Plemieniem kłamców, ludzi uciskiem
Z całego serca, wiecznie gardzimy;
Dlatego więzy zerwijcie z zyskiem —
Choćby krwi ceną! To wam chwalimy.
Wrogów ognisty niech oręż straszy:
To dla wolności, ojczyzny naszéj!“

Mała garstka „Synów straconych“ z ulubioną piosnką na ustach rzuciła się na ostrokoły i zdarła wszystko, co mogła pochwycić; lecz jeszcze szaleniéj broiła śmierć pośród ich szeregów: i w pół godziny *czteréj* ranni, których z walki wyniesiono, byli smutną resztką tych bohaterskich młodzieńców!

Lecz oni utorowali drogę. Kościuszkę, który stał tuż za nimi ze swymi ludźmi, porwał ognisty, bohaterski zapał. Huk dział, grzmiąca muzyka, do-

dające ducha śpiewy, które dla niejednego stały się pieśnią grobową, krew, która około niego płynęła, westchnienia umierających, którzy u jego boku padali: to wszystko porywało go jakby niewidzialnymi rękoma do boju. Owładnął nim zapał cudowny; w jego głowie wirowała burzliwie myśl zwycięstwa. Toż wołając: „*Naprzód wiara!*“ rzucił się na czele swoich ludzi naprzeciw nieprzyjaciołom. Ale i jego przyjął piekielny ogień, który — ciągle utrzymywany jego żołnierzom nie pozostawiał czasu do nabijania broni, a nawet zagrażał odpędzeniem od twierdzy. Lecz Kościuszko lotem błyskawicy nakazał dać ognia i nie nabijając strzelb nowymi ładunkami zatknąć na nie bagnety!

— *Teraz za mną dzieci!* — zawołał potem, wskazując szpadą na gwiazdowaty szaniec.

W przyspieszonym kroku rzuciły się kolumny z zatkniętym bagnetem na obwarowania Stoney-Pointu. Anglicy dotrzymali dzielnie placu; nie walczono już w szeregach, lecz mąż w męża, pierś przeciwko piersi. Wreszcie zaczęła się chwiać załoga. Gdy to zauważył komendant, który pośród gradu kul z zimną krwią z twierdzy walce się przypatrywał, posłał natychmiast nowy posiłek w zagrożoną część warowni z rozkazem, aby nie ustępować „nędznym powstańcom.“ Zdawało się teraz, że się szczęście miało odwrócić: kule nowoprzybyłych Anglików trafiały celnie, rowy wypełniły się trupami. Amerykanie zaczęli ustępować.

Wtém wyrwał Kościuszko upadającemu chorążemu z ręki sztandar, wywinął nim w powietrzu i zawołał gromkim głosem: „*Kto jest żołnierzem, niech postępuje za mną!*“ Prawie w téj saméj

chwili udało się także margrabiemu *de Fleury* wydrapać na przedwałek i, podczas gdy Kościuszko zatknął chorągiew *północno-amerykańską*, zerwać na dół *królewską*. Lotem myśli dodał ten przykład odwagi następującym oddziałom: zwrócili się wojownicy i zaatakowali nieprzyjaciół z podwójną natarczywością. Jak dziki górski potok, złamany o groblę spieniony i z hukiem przeciska się przez przerwę i pustosząc wszystko z sobą porywa: tak teraz wpadły na nieprzyjaciela zastępcy Kościuszki. Na nic się nie zdał wszelki opór; napróżno dozwalali się Brytańczycy zabijać setkami — musieli ustąpić, zajęto Stoney-Point.

Walka zwolniała. Tylko załoga jedynego szańca trzymała się jeszcze: zdawało się, jakoby nie miała przyjąć żadnego pardonu. Strzelała ona wytrwale; a kiedy wiatr dym i parę roz-

pędził, widać było komendanta twierdzy, siedzącego wygodnie na lawecie działa i napominającego z cygarem w ustach swych żołnierzy: „Raczéj umrzéć aniżeli się poddać „niegodziwym powstańcom!“

W kwadrans późniéj umilkł i ten punkt, ponieważ waleczni obrońcy polegli, a komendant leżał na lawecie działa, przeszyty cztérema kulami.

IV.

Odludna gospoda — Powitanie zabłąkanych Francuzów przez Amerykan. — Opowiadanie sędziwego wojaka o bohaterskich czynach Kościuszki pod Monmouth.

Pomiędzy Delawarem a Hudsonem wznosi się szereg wzgórków, porosłych dziewiczymi lasami. To właśnie było miejsce, gdzie w głębi lasu stała gospoda, w której się zwykli byli zatrzymywać ludzie, odwiedzający jezioro Ontaryo i jego okolicę. Był to skromny z okrąglaków wystawiony budynek, który nie będąc ociosany od strony zewnętrznej wyglądał poniekąd dziko i ponuro. Tutaj atoli w cieniu wspaniałych drzew owocowych stojąc na łące, otoczony naokoło lasem wydawał się ten domek dosyć miłym i mógł tylko pocieszać znużonego wędrowca.

Zwłaszcza dzisiaj był ten obrazek bardzo ożywiony, ponieważ hufiec Francuzów, który się z głównéj armii podczas prześcigu z powodu nieznajomości okolicy zabłąkał, przystanął tutaj na dobre.

Z właściwą sobie wesołością i ruchliwością wzięli natychmiast w posiadanie to dobre miejsce, wywlekli, co się dało nabrać, stołów i ławek w cień wspaniałych drzew i kazali sobie przynieść wszystko najlepsze z kuchni i piwnicy. Kiedy się to wszystko pojawiło na stołach, i zaspokojono piérwszy głód i pragnienie, wszczęła się powszechna wesołość i rozmowa. Atoli już po chwili powypadały wszystkim z rąk noże i widelce, albowiem stary hufcem dowodzący sierżant, przysłuchawszy się zawołał: „Do broni!“

Ochota ucichła; i w jednéj chwili zamieniło się przed kilku minutami tak

wesołe towarzystwo w hufiec, najzupełniéj gotów do bronienia życia aż do ostatniéj kropli krwi w razie nieprzyjacielskiéj zaczepki. Doświadczony sierżant, rozglądnąwszy się po okolicy postanowił użyć gospody za rodzaj twierdzy. Obsadził téż zbrojnymi okalające ją ganki i rozdzielił resztę ludzi u okien, które teraz miały służyć za otwory do strzelania. Potém oczekiwano niecierpliwie na nadciągających w celu dowiedzenia się, czyby to byli nieprzyjaciele.

Bębny ozwały się głośniéj; aż wreszcie wychylił się pochód z ukrytéj leśnéj drogi. Stało się to atoli zbyt pomału tak, iż w nim Francuzi poznali oddział sprzymierzonéj amerykańskiéj armii, który powitali okrzykiem: „*Niech żyje rzeczpospolita, niech żyje Washington!*“

Nowoprzybyli zawahali się na chwi-

lę; a ich przewódca kazał swoim ludziom stanąć, domyślając się zdrady. Lecz wkrótce przekonał się o stanie rzeczy, ponieważ się otwarły drzwi gospody, a ku niemu załoga téj nowéj twierdzy spokojnie wyszła i okazała się być zabłąkaną cząstką głównéj armii. Kościuszko, gdyż on był dowódcą tego oddziału, powitał ich uprzejmie i wszedł natychmiast wraz z swymi ludźmi, którzy po tak długim marszu odpoczynku i pożywienia potrzebowali, do spokojnéj gospody.

Jeśli tutaj piérwéj radość i ochota panowały, to teraz scena bardzo się ożywiła. Ponieważ liczba gości do wielkich wzrosła rozmiarów, a gospodarz swój dom urządził tylko na nieliczne odwiedziny, musiał więc zarżnąć kilkoro bydląt w obliczu zgłodniałych i przyrządzić je na ich przyjęcie.

Podczas tego, zwłaszcza gdy Ko-

ściuszko z roztropnym namysłem rozstawił był placówki we wszelkich kierunkach, a potém się sam usunął, usiadła większa część Amerykan na miękkiéj murawie i pocieszała tymczasowo wygłodzony żołądek, łykając chciwie z podanych im od Francuzów pełnych szklanic.

W ciągu rozmowy zapytał stary sierżant związkowych:

— Kto jest waszym przewódcą?

— Jakto: — zawołali oni — jesteś już kilka tygodni w Ameryce i nie znasz go? Jestto waleczny *Tadeusz Kościuszko*, szlachetny Polak!

— Kos... Kośck... do licha: te nazwiska! — zawołał ognisty Francuz. — Jakto nam je trudno wymówić! Dobrze, że się go zna po *czynach!* On wiódł Francuzów, kiedy zdobywali Stoney-Point.

— A czy był kto z was — za-

pytał stary Amerykanin, przy ostatnim ataku na Monmouth?

— Ja nie! — odrzekli sierżant i reszta ludzi, których teraz sporo przybyło.

— A więc — mówił dalej stary Amerykanin — muszę wam to opowiedzieć: jaki sobie tam honor zaskarbił właśnie ten *Kościuszko*, który jest waszym przewódcą. Wiecie, jaki przestrach ogarnął był Anglików, skoro admirał d'Esteing na ląd wysiadł. Oddawna żywiona nienawiść obydwu narodowości wybuchła świetnym płomieniem, jak gdyby się chciały były wzajemnie pochłonąć. Atoli Anglicy, zwani od Amerykan „Czerwonokapotowymi" zatrwożyli się i cofnęli. Wtedy postanowił Washington natrzeć na nich i dał w tym względzie zlecenia jenerałom Waynemu, Lee'mu i swemu ulubieńcowi Lafayettemu; Kościuszko dowo-

dził kompanią ochotników, a ja sam byłem zatrudniony przy jenerale Waynem. Przebieg ataku zna każdy. Skoro wojsko pod Coryel'em poprzez Delaware się przeprawiło, ścigało nieprzyjaciela aż w okolicę Monmouthu, gdzie Anglicy zajęli trwałe stanowisko. Washington wysłał do Lee'a rozkaz natarcia na Anglików, gdyby zamyślali daléj się ruszyć. W niepojęty atoli sposób jenerał Lee nietylko tego rozkazu nie wypełnił, ale nawet się cofnął pod piérwszym naciskiem Anglików w nieładzie. Skoro się o tém głównodowodzący dowiedział, starał się ten błąd naprawić i kazał Wayne'mu i Lafayettemu pomknąć się naprzód ze znacznym oddziałem wojska. Rozpoczął się teraz zacięty bój, w którym wzięła także udział i owa kompania ochotników, którą dowodził Kościuszko. Odznaczyła się ona w boju tak dzielnie,

iż ją obydwaj jenerałowie zauważyli mimo straszliwéj walki, która ich otaczała. Kościuszko okazał przy tém tak wielką przytomność ducha i tak wybitne zdolności, że ze swym najdaléj wysuniętym oddziałem zdołał przedsiębrać regularne ataki w ścieśniętym szyku.

Wreszcie udało się połączonym usiłowaniom osiągnąć wytknięty cel; a kiedy nadszedł wieczór, był nieprzyjaciel odparty poza swe dawniejsze stanowisko.

Skoro Lafayette znalazł się przed Waynem, zapytał go odrazu:

— Przyjacielu! kto dzisiaj dowodził piérwszą kompanią?

— Był to ów Polak, — odpowiedział zapytany — który się już tak bardzo odznaczył pod Stoney-Point. Jest on szlachetnego rodu, ale biédny i nazywa się, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, *Kościuszko.*

— Muszę z nim jeszcze dzisiaj pomówić: — zawołał Lafayette — on jest zrodzony na wodza!

Potem zabawili się obaj z sobą kilka chwil; następnie dosiadł margrabia znowu konia i pojechał ku wsi, gdzie mieli obozować ochotnicy. Tutaj przybył Lafayette już późnym wieczorem. Zeskoczył natychmiast z konia i udał się do namiotu waszego teraźniejszego przewódcy, który — jeszcze cały krwią, pyłem i potem oblany przed małym stolikiem nad mapami siedział, mając obok siebie pióro i papiér.

Możecie sobie wyobrazić jego ździwienie, gdy go tak późno i niespodzianie odwiedził jenerał. Lafayette pochwycił jego rękę, uścisnął ją serdecznie i zawołał:

— Waszmość się i dzisiaj odznaczyłeś oględnością i męstwem; pozwól się waszmość nazywać moim bratem.

— Mówiąc to przygarnął zdziwionego i zawstydzonego Kościuszkę w swe uściski.

— Od owego czasu są Lafayette i Kościuszko jedną duszą!

— To wielki mąż: — zawołał stary sierżant z zapałem — prawdziwy Francuz! Towarzysze! napełnijcie szklanki. *Niech nam żyje ten Kościuszko!*

Tutaj z grzmotem odbiło się o lasy wołanie: „*Niech żyje Kościuszko! Niech żyje bohatér z pod Monmouth!*

V.

Wiadomość o nieszczęściu miasta Wiomingu. — Wyruszenie Kościuszki na odsiecz. — Wieczorna cisza w dolinie rzeki Susquehanny. — Naczelnik kwakrów. Markwald z rodziną. — „Biały wilk." — Kościuszko zbawcą w niedoli.

Gdy się to działo pod gospodą, przebywał Kościuszko na małym wzgórku poza domem i spożył tam skromny obiad bez napitku. W jego sercu panował smutek, gdyż ciemne milczące bory wywarły na nim wrażenie głębokiego rozrzewnienia. Sława, jaką już sobie zdobył, nie cieszyła go bardzo, gdyż nie znał ołtarza, na którym mógłby był poskładać swe wawrzynowe wieńce. Pośród olbrzymiéj, wzniosłéj przyrody obudziło się w jego duszy wymowne przeświadczenie, że zdała od ojczyzny był samotnym na świecie!

Niebawem przebudził go z zadumy jakiś szmer. Kiedy się obejrzał, stał przed nim starzec, a u jego boku smukłe kwakierskie*) pacholę, blade, wzruszone i drżące.

— Czego chcecie? — zapytał spokojnie Kościuszko.

— Łaski, łaski i miłosierdzia bracie! — zawołało żałośliwie pacholę. — Przybywam z sąsiedniego miasta *Wiomingu*, co tylko sił starczyło. Ach, jeśli posiadasz litość dla bliźnich, natenczas pospiesz na pomoc biednemu miastu, które, zdradzone w haniebny sposób przez Indyan i Anglików zostało napadnięte i splądrowane, a teraz stoi w jasnych płomieniach! Miałem pospieszyć do głównéj kwatery, kiedy znalazłem tutaj ciebie i twych ludzi, lecz za daleka

---

*) Kwakrowie byłato religijna sekta, która w Ameryce Północnéj żyła pracowicie i pobożnie.

droga do obozu. Zapóźna byłaby pomoc, gdybyś jéj ty nie przyniósł, albowiem Anglicy i Indyanie srożą się z równém okrucieństwem przeciw nieszczęśliwéj bratniéj gminie.

Jeszcze nie domówiło wszystkiego pacholę, a już wydał Kościuszko rozkaz do wyruszenia. Nie pytał się on trwożnie o potęgę Irokezan i Anglików, nie myślał już teraz o sobie i o swych boleściach: cierpiąca ludzkość stała mu jedynie na oczach. Tutaj potrzeba było stanowczości, energii i pospiechu!

Z szybkością natchnionego ducha, z porywającą wymową stanął Kościuszko przed frontem wojska i zawołał:

— *Przyjaciele: wasi bracia w Wiomingu są w niebezpieczeństwie! Anglicy i Indyanie napadli na niewinnych i szerzą mord i pożogę! Ich żony, ich dziewice, ich dzieci krzyczą, wołając o ratunek. Czyż się zachwiejecie w postanowie-*

niu, czy się zawahacie wykonać powinność? Nie! Pójdziecie za mną i śmiałą ręką zgromicie dzikich nieprzyjaciół kraju i wolności, boście dzielni mężowie! Nie otrzymaliśmy na to żadnego rozkazu, ale to nakazuje ludzkość. Kto jest męszczyzną, niech przystąpi i pospieszy za mną!

Powiedziawszy to dosiadł bohatér konia. Amerykanie i Francuzi otoczyli go wśród radosnych okrzyków i podążyli szybko jak burza za przewódcą.

Głębokie milczenie panowało naokoło; zdawało się, iż cała przyroda, nawet wiatry spały; i tylko tu i ówdzie spadło kwiecie cicho jakby w baśni z pełnych bieli gałęzi i ukryło się, upojone roskoszą w wysokiéj trawie. Wszystko było tak ciche, rozległe, wielkie i wzniosłe! A ponad woniejącą ziemią legło w głębokim ciemnym lazurze sklepienie niebios; z jego bezmiaru

zwisały na dół droga mléczna z ciemnymi skazami i miryady gwiazd jakby białe i złociste kwiecie nadziemskiéj krainy. Księżyc pływał w pianie swego blasku i świécił jaśniéj od nich, wylewając blade światło ponad dolinę, odźwierciedlał się w toniach Susquehanny i w zadumaniu opierał o dalekie, dalekie góry.

Miasto Wioming cieszyło się najzupełniejszym spokojem, chociaż on był podobny do owéj ciszy, która zwykła poprzedzać burzę. Pod miastem w pięknym zakątku mieszkała tutaj pracowita i cnotliwa gmina kwakrów. W jednym z cichych, schludnych domów żył ich sędziwy naczelnik Markwald, znany pod imieniem Jana z rodziną t. j. z dwiema córkami Maryą i Bertą i z przybranym synem Pawłem.

Paweł, podsłuchawszy właśnie przed chwilą rozmowę Irokezan, którzy się

byli wśród wieczornego zmroku do ogrodu na zwiady zakradli, uwiadomił o tém ojca Markwalda, objawił mu swój domysł, iż Indyanie myśleli o napadzie, i wzywał do uzbrojenia się, a sam wyszedł w tym celu z mieszkania.

Sędziwy Markwald nie utracił zwykłego spokoju; tylko łza zabłysła w jego oku, gdy zawołał poważnie i uroczyście:

— Wioming: nadszedł twój upadek; dni gniewu Pańskiego i doświadczenia już się zbliżają!

Potém zwołał swą rodzinę i domowników i oznajmił im własne i Pawła domysły; a ponieważ kwakrom zabraniała religijna zasada używania broni, przeto napominał ich, aby dla uczczenia Boga i swéj wiary znosili byli ze stałością i uległością te wszystkie cierpienia, jakieby na nich przyjść miały.

Po niejakim czasie powrócił Paweł i zmierzając do głównéj izby mieszkania, gdzie sędziwy Markwald spędzał czas na modlitwie ze swoimi, usłyszał w oddaleniu niewyraźny hałas. Nagle padł strzał jeden i drugi; potem padało ich coraz więcéj, wzmagał się hałas: niechybnie napadnięto na Wioming!

Z śmiertelną trwogą wpadł Paweł do izby i ujrzał przed sobą wstrząsający duszę obraz.

Przez okno przeglądało krwawe niebo: Wioming stał w jasnych płomieniach! Straszliwa łuna oświécała płowém światłem izbę, dokoła któréj siedzieli cicho i nieruchomo mieszkańcy z bladą jak u trupów twarzą. Podobni do marmurowych figur, do ciał bez duszy spoglądali przed siebie; a ich drżące usta poruszały się kurczowo. W pośrodku stał sędziwy brat Jan.

Podobny do Mojżesza na górze Sy-

naj stał on tutaj jako podniosła postać i wyciągnął, błogosławiąc nad swoich ręce z świętą powagą i natchnieniem męczennika na obliczu. Posiwiałe pierścienie włosów, spływające na dół z pod szérokiego kwakierskiego kapelusza, srébrzysta broda, blade oblicze z wyrazem spokoju i stanowczości podnosiły jeszcze więcéj urok téj pięknéj postaci.

U jego stóp leżała na klęczkach młoda córka Marya i drżąc ukrywała twarz w powłoczystych fałdach jego szaty. Wśród grobowéj ciszy, jaka naokoło panowała, dolatywało okropne biadanie miasta, strzélanie walczących i ryk dzikich Indyan, którzy w tryumfie głosili swój śpiéw bojowy.

Kiedy Paweł wpadł do izby, stanął jak wryty. Zimny dreszcz czci ogarnął go, skoro zobaczył Markwalda, który stojąc nieruchomo na miejscu z błyszczącymi, radością rozpromienio-

nymi oczyma spoglądał w płomienne niebo, jak gdyby już teraz był oglądał rajskie roskosze. Uzbrojony młodzieniec zadrżał w obec spokoju starca; owszem przejął on jego duszę tak wszechwładnie, iż miał już odrzucić broń i umrzéć z tymi świętymi, gdy go ujrzała siostra Marya, z okrzykiem ku niemu się rzuciła i objęła go kurczowo.

W téj chwili ozwał się ryk Indyan dookoła domu. Były to wycia piekielne — straszliwe, przerażające, nieopisane wrzaski, w których się łączyły dzika radość, krwiożerczość, chęć rabunku i tryumfująca uciecha zwycięstwa!

Wszystko drżało; tylko Jan i jego córka Berta pozostali nieporuszonymi.

Paweł stracił prawie całkiem przytomność. Był on jedynym uzbrojonym w domu, który otaczały setki dobrze uzbrojonych Irokezan, i który nie był nawet zatarasowany. Cóż mógł uczynić—

zwłaszcza, gdy go jeszcze obejmowały ramiona ukochanéj siostry, gdy go ona błagała: „Ratuj nas!“ To rozdzierało mu serce. Indyanie poodbijali kolbami dolne drzwi; a jeden z nich wylazł na prastare drzewo w ogrodzie i zaglądnąwszy oknem do izby zgromadzonych kwakrów już się miał do niéj rzucić; lecz Paweł dał ognia z swéj strzelby, a Indyanin skrzywił się i spadł na wznak z drzewa.

Po chwili rozległo się jeszcze straszliwsze wycie. Do izby wpadały kamienie i strzały; zatrzeszczały drzwi— a dzicy zwycięzcy wpadli z okrzykiem radości do dolnéj części domu. Niebezpieczeństwo było naglące; głośno odzywał się popęd zachowawczy, więc czeladź Markwalda pochwyciła bagnety i pałasze, które im Paweł rzucał. Dwaj słudzy zatarasowali drzwi naprędce. Paweł i dwaj uzbrojeni starali się bronić

okien przeciw dostającym się do nich Indyanom. Ale wszelkie usiłowania nie skutkowały; drzwi uległy naciskowi atakujących, ich górna część się załamała.

Okropny okrzyk tryumfu podnieśli teraz napadający dzicy. Ciemne postacie cisnęły się do wyłomu; lecz Paweł strzelił dwa razy do nich i to skutecznie, jak można było wnioskować z jęków boleści. Zanim atoli zdołał powtórnie nabić, już drzwi całkowicie wybito; a izbę napełnili Indyanie. Naprzód wyskoczyła okropna postać naczelnika Indyan Caracterichea, zwanego dla okrutności „Białym Wilkiem“. Jego przewracające się oczy szukały ofiary wściekłości. Ujrzał on Bertę, która stała u boku ojca w świętym spokoju. Dziki wywinął około głowy swój tomahawk*),

*). Wojenny toporek Indyan.

a nieszczęśliwa Berta usunęła się do nóg ojca, podczas gdy jego na ziemię obalono i zatkano mu usta.

W téj chwili dał się słyszeć głos bębna; rozległy się strzały, a okrzyk: „*Za Boga i rzeczpospolitą!*“ zwiastował przybycie Amerykan. Nagłe pojawienie się amerykańskiego wojska wznieciło postrach i trwogę pośród Indyan; toż z szybkością myśli opuściła największa ich część izbę i dom, zabierając z sobą zakneblowanych Markwalda i kilkoro dziewcząt. Pozostał tylko Caracteriche i trzej jego towarzysze. Wściekłość „Białego Wilka“ zwróciła się osobliwie przeciw Pawłowi, który obrzucony zabitymi sam jeden mężnie się bronił. Młodzieniec, stojąc ochraniał ciało Maryi, która leżała zemdlona na ziemi. Ponieważ nie miał czasu do nabicia strzelby, uchwycił ją za lufę i wywijał gniewnie kolbą naokoło siebie. Lecz

Irokezanie umieli się zręcznie uchylać i zbliżali się coraz więcéj ku niemu. Mimoto nie ustąpił Paweł ani na piędź z obranego stanowiska i bronił się z niesłychaną walecznością. Lecz borykał się z czterema dzikimi tak, iż go już siły opadały, kiedy mu w krytycznéj chwili przybył na pomoc — *Kościuszko*, który wpadł do izby, mając w lewéj ręce pistolet, w prawéj szpadę.

Będąc jeszcze na dole poznał on z dzikiéj wrzawy, jaka go dolatywała z góry, iż tam pewnie potrzebną była pomoc. Rozkazał więc natychmiast Francuzom pod przewodnictwem sierżanta podążyć naprzód ku Wiomingowi, podczas gdy część jego ludzi stanęła przed domem Markwalda. Z drugą garstką odebrał on najpiérw Indyanom dolną część domu. Indyanie, przywiedzeni do ostateczności, bronili się z odwagą rozpaczy i mścili na bié-

dnych ofiarach, które wpadły w ich ręce. W straszliwy sposób pokaleczone, pozbawione skóry na głowie trupy wyrzucali oni oknami domu.

Kościuszko i jego ludzie zadrżeli, widząc te okrucieństwa, lecz właśnie dlatego zdwoili swe usiłowania tak, iż po zerwaniu w kilku chwilach szańców przyszło do potykania się wręcz.

Kościuszko rad był ocalić życie pozostałych jeszcze ludzi i sądził, że ich należało szukać na górze. Z lwią tedy odwagą przebił się przez zbite masy nieprzyjaciół, dostał się szczęśliwie na wschody i stanął w izbie w chwili, kiedy jeden z Indyan potężnym ciosem chciał pozbawić życia Pawła. Kula Kościuszki powaliła dzikiego na ziemię; on sam potém natarł gwałtownie na Caracteriche'a. „Biały Wilk“ zaczął się bronić; uderzenie jego tomahawka pokruszyło szpadę Kościuszki tak, iż

się zdawało, iż bezbronny bohatér miał teraz zginąć. Lecz zanim Caracteriche zdołał drugi raz uderzyć, objął Kościuszko olbrzymiego Indyanina tak mocno ramionami, iż on nie mógł już użyć swéj broni. „Biały Wilk“ poznał odrazu wzrastające niebezpieczeństwo, uwolnił się nagle z ramion Kościuszki i znikł z towarzyszami z izby. Ta walka trwała tylko kilka chwil; a Amerykanie stali się w tym czasie panami domu. Leżało zabitych 28 Indyan; reszta uciekła.

VI.

Upadek Wiomingu. — Pomoc i szlachetna miłość bliźniego Kościuszki — Jego radosne powitanie w obozie. — Washington przyjacielem Kościuszki. — Mogiła Kościuszki.

Na Wioming spadła tymczasem straszliwa katastrofa. Téj saméj nocy, kiedy się odbywała walka w domu Markwalda, napadło 600 ludzi na najwięcéj ku południowi wysunięty fort, który gmina była wzniosła w celu ochrony miasta. Słabą załogę wkrótce pokonano i wycięto; następnie wylała się dzika czerń na miasto. Straszliwe wycie wystraszyło jego mieszkańców ze snu i zanim się oni opamiętali, wdarli się już Indyanie i Anglicy do mieszkań i rabowali, burzyli, co tylko im w ręce wpadło. W kilku minutach stanął Wioming w płomieniach.

Twierdza nie mogła się utrzymać, więc oczekiwano najstraszliwszych ostateczności, gdy nadciągnęli wysłani przez Kościuszkę Francuzi.

Powitano ich wśród radośnych okrzyków. Francuzi złączyli się natychmiast z załogą, a przez to twierdzę uratowano. Wkrótce potém pojawił się sam Kościuszko i odpędził z swymi junakami i resztę dzikich po 2-godzinnym bohaterskim i uporczywym boju.

Ale jakieś uczucia burzyły się w duszy ludzkiego zwycięzcy. Na prochem oczernioném obliczu bohatera zajaśniały łzy współczucia na widok nieskończonéj niedoli. Piękne, kwitnące miasto Wioming zamieniło się w jednę kupę gruzów; a wśród nich leżeli męszczyzni, kobiéty, dzieci i starcy, poranieni barbarzyńską ręką, napełniając powietrze jękami boleści!

Spełniło się więc straszliwe przeczu-

cie Markwalda: raj Susquehanny znikł z ziemi!

Kościuszko był zanadto szlachetny, aby się mógł był tylko litować nad powszechném nieszczęściem; czuł, iż tutaj wypadało działać i to działać szybko. Skoro więc tylko wydał wojskowe rozkazy do zabezpieczenia kilkorga pozostałych ludzi, już sam pospieszył ratować nieszczęśliwych. Toż wylał swą miłość, tryskającą nieskończenie hojnie z jego młodzieńczéj piersi na bliźnich. Tutaj uklęknął obok rannego i opatrywał jego rany własnymi rękoma, tam pocieszał rozpaczających tak łagodnie, iż osychały aż do znużenia spłakane oczy. Na inném miejscu pomagał przenosić ciężko rannych na nosze, aby ich można było przeprowadzić do fortu, gdzie znowu sam rozdzielał małą ilość pożywienia, jaką mógł zabrać dla zgłodniałych.

Przekonał się, że nie mógł opuścić tego miejsca, jeśli nie chciał na nowo porzucić nieszczęśliwych na pastwę rozwścieczonych nieprzyjaciół. Postanowił więc z swymi ludźmi tak długo tutaj zabawić, ażby go były doszły dokładniejsze rozkazy od głównodowodzącego, i wysłał dlatego natychmiast dokładne sprawozdanie o całéj katastrofie od swego zabłąkania się aż do walki pod Wiomingiem do Washingtona.

Rozkaz głównodowodzącego nadszedł wkrótce do Wiomingu. Wskutek niego opuścił Kościuszko miejsce natychmiast i powrócił do Eastonu, dokąd zawiódł resztę nieszczęśliwych Wiominganów do głównéj kwatery.

Kiedy tam przybył, powitali go wojsko i przyjaciele wśród głośnych okrzyków radości. Jego imię rozniósł zapał po całym obozie tak, iż każdy rozmawiał ze czcią i miłością o mężu,

który się okazał równie szlachetnym i miłosiernym wobec nieszczęścia bliźnich jak obojętnym wobec niebezpieczeństw, walecznym w boju.

Skoro Kościuszko swego Puławskiego i resztę przyjaciół serdecznie powitał, udał się do głównodowodzącego w celu złożenia mu ustnego raportu. Washington był wtedy sam na sam z swym prywatnym sekretarzem. Wyszedł on naprzeciw Kościuszce z równą serdecznością jak i prostotą i otwartością, bo one były górującymi zaletami jego duszy.

— Witam was, *młody bohaterze;* — zawołał i uściskał poufale rękę Kościuszki — odbyłeś waszmość dobrze próbę! *Świat wspominać będzie waszmości ze czcią i uszanowaniem*, ilekroć usłyszy, lub wymawiać będzie nazwiska: *Stoney-Point*, *Monmouth i Wioming!* Co atoli więcéj znaczy: ludzkość będzie *kochała*

waszmości. Jesteś nietylko dzielnym wojownikiem, ale także i szlachetnym człowiekiem, którego ambicya i żądza sławy w celu odniesienie zwycięstwa nie popycha do popełnienia okrucieństw, i który nietylko umié rany zadawać, ale je także i goić.

— Mój jenerale! — odrzekł spokojnie Kościuszko — wprawdzie starałem się o spełnienie powinności jako wojownik i człowiek, ale zarazem czuję, jak daleko mi jeszcze do celu.

— Jestem o tém przekonany, — powiedział Washington — że waszmość uczyniłeś wszystko, co było możebném. Nie uwierzysz, mości Kościuszko, jak mnie nieskończenie cieszy, gdy się mogę otoczyć mężami, których serca wojna nie zatwardziła. Moja biédna ojczyzna musi tak nieskończenie wiele znosić! Rozlały się na nią wszelkie okrucieństwa wojny domowéj: niestety! nie-

tylko nieprzyjaciele, ale i jéj własne dzieci popełniają coraz liczniejsze zbrodnie. Sądzę atoli, iż się w jednéj rzeczy nie mylę. W waszmości, panie Kościuszko, znalazłem męża według serca mego. *Bądź waszmość moim przyjacielem!*

Tutaj podał Washington zdziwionemu i uradowanemu Kościuszce rękę z niewymuszoną serdecznością. Z zapałem pochwycił ją Kościuszko i zawołał:

— Jenerale! umiém ocenić ten zaszczyt, będę się téż starał zasłużyć nań sobie.

— Możesz, mój przyjacielu! przyczyniając się w uczciwy sposób do osiągnięcia wzniosłego celu, który nas połączył pod jednym sztandarem. W kilku dniach będziemy mieli znowu zatrudnienie. I jeśli waszmość będziesz tak samo jak dotychczas i nadal rozwijał pospiech w przedsięwzięciach, równą waleczność w zamęcie walki, równą oglę-

dność w natarciu, połoczoną z przytomnością ducha w odwrocie: wówczas, mój przyjacielu, mogę ojczyźnie waszmości życzyć szczęścia, gdyż będzie kiedyś wielkiego wodza w waszmości posiadała!

I wiemy, że się sprawdziła zaszczytna przepowiednia nieśmiertelnego bohatera.

Jeszcze niejednokrotnie złożył na obcéj ziemi Kościuszko chlubne dowody swego uzdolnienia, odwagi i męstwa w wiekopomnym boju o niepodległość Stanów Zjednoczonych; kiedy zaś ozdobiony wieńcami sławy powrócił do ojczystego kraju okrył się nową chlubą i warzynami w świętéj walce o niepodległość własnéj ojczyzny.

Gdy wreszcie, syt lat i chwały spoczął na wieki w ukochanéj swojskiéj ziemi, wdzięczny i kochający naród pochował jego spracowane ciało obok kró-

lów w Krakowie na Wawelu, a opodal za Wisłą na górze Sikorniku usypał mu olbrzymią, niebotyczną słowiańską mogiłę, która głosząc światu niepożytą sławę wielkiego i szlachtnego, nad innych ukochanego wodza *Tadeusza Kościuszki* zdaje się nas wzywać do pójścia w jego przepiękne ślady słowy poety:

„Dajmy dowód, że nie ginie
Dawne męstwo, poświęcenie,
Że nam święte ich wspomnienie,
Że ta sama krew w nas płynie,
Żeśmy ojców naszych godni --
Potomkowie nieodrodni!“

Koniec.